

## Marzec '68 w Lublinie

### Syjniści ze zrzutów

U nas było inaczej. Co prawda tylko kilka dni, ale jednak.... Otóż na początku w Lublinie inspiratorami i wicherzycielami byli nie Żydzi (pardon: syjniści), lecz endecy i klerykałowie, a ich matecznikiem Katolicki Uniwersytet Lubelski. Syjniści zostali wytropieni później.

Na tak drastyczne odstępstwo obowiązującego w całej Polsce kierunku ataku lokalne władze nie pozwoliłyby sobie bez zgody mocodawców i to uzyskanej zawczasu, zanim jeszcze doszło w Lublinie do jakichkolwiek studenckich wystąpień. W poniedziałek 11 marca w miasteczku akademickim odbył się wiec, ze śladowym udziałem kulowców, a potem pochód do centrum miasta. Wiec zresztą anemiczny, bez przygotowanego zawczasu scenariusza, bez uzgodnionych hasel czy projektu rezolucji. Pochodowi zagroził drogę kordon milicjantów w żelaznych hełmach, z długimi pałami. I z psami. Z boku i z tyłu zaszedł nas „aktyw”, też zbrojny w milicyjne pały. Bili kogo popadnie. Ale aresztowali z rozmysłem, tak żeby wśród zatrzymanych najwięcej było kulowców. Upolowali ich bez trudu, bo stróże porządku pojawili się, gdy pochód minął gmach KUL, z którego wysypała się gromada studentów chcących dołączyć do demonstracji.

Kulowcy stanowili ponad połowę aresztowanych. Dwie trzecie spośród ukaranych grzywnami (wszystkie uiścił niezwłocznie rektor KUL ks. Wincenty Granat, a podobno zapłacił też za co najmniej część studentów innych uczelni). Na wyroki dwumiesięcznego aresztu skazano dwóch studentów KUL, przewodniczącego ZSP Janusza Bazydłę i studenta historii Adama Konderaka, i nikogo z uczelni państwowych. Nie było w tym przypadku - tak miało być, żeby można było winą za wywołanie rozruchów obciążyć właśnie kulowców.

Komentarz w tym duchu opublikował po dwóch dniach „Kurier Lubelski”. To też było nie bez znaczenia, że zaatakować KUL polecono nie organowi KW PZPR „Sztandarowi Ludu” (który przedrukowywał z prasy warszawskiej teksty zgodne z linią partii, wymierzone przede wszystkim w syjonistów i rewizjonistów), lecz popularnej popołudniówce. Ale nawet ona, po załatwieniu lokalnych porachunków z katolicką uczelnią, musiała nawiązać do podstawowej tezy propagandowej. Jak komentator „Kuriera” wybrnął z zadania? Obsobaczył, jak mu kazano, KUL, po czym zadumał się nad sojuszem „jawnych i zamaskowanych syjonistów”, którzy to „z przedziwną łatwością podali sobie ręce z wczorajszymi przeciwnikami, przedstawicielami endecji, wojującego klerykalizmu i innych prawicowych ugrupowań”. Sensu w tym nie było, ale nie o sens przecież tu szło, tylko o subordynację.

Nazajutrz do ataku „Kuriera” przyłączył się rektor UMCS Grzegorz Leopold Seidler. On również oskarżył studentów KUL o wzniesienie niepokojów i zakazał im wstępu do gmachów uniwersyteckich i do miasteczka uniwersyteckiego. W odpowiedzi ksiądz Granat zaprosił pracowników i studentów wszystkich państwowych uczelni do korzystania z wszelkich obiektów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i zapewnił, że będą najmilej widzianymi gośćmi. Uprzedzając wydarzenia dodam, że dzięki tej gościnności mogli na KUL ukończyć studia ludzie wyrzuceni po Marcu z wilczym biletem z państwowych uczelni, jak Barbara Toruńczyk i Seweryn Blumsztajn z Uniwersytetu Warszawskiego, Joanna Szczęsna z Uniwersytetu Łódzkiego czy Władysław Panas z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Po kilku dniach, na pewno zaś po przemówieniu Gomułki w Sali Kongresowej PKiN 19 marca, lubelska prasa poniechała ataków na KUL i odkryła prawdziwego inspiratora zajść i - co tu owijać w bawełnę - właściwego wroga: syjonistów. Miało to tyle wspólnego z prawdą, co poprzednie oskarżenia.

Wiec 11 marca zwołali bowiem nie kulowcy, tylko moi koledzy z drugiego roku polonistyki oraz studenci ekonomii i fizyki, wszyscy z UMCS. Ich ulotki nie odniosłyby zresztą żadnego skutku, gdyby nie - tajemnicze dla mnie do dziś, wydarzenie. W niedzielę 10 marca radiowęzeł studencki, odbierany w akademikach przez kilka tysięcy ludzi, przez parę godzin transmitował audycję Radia Wolna Europa opowiadającą ze szczegółami o brutalnej pacyfikacji wiecu studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Do pomieszczenia radiowęzła nie można było się dostać, bo drzwi ktoś zatarasował szafą i wyszedł, tak że nie można było wyłączyć Wolnej Europy; uciszono ją dopiero odcinając dopływ prądu. Nigdy nie dowiedziałem się, choć znałem kolegów z obsługi radiowęzła, kto wyciął taki numer; na pewno jednak nie był to nikt z KUL. Tak samo mogę zaręczyć, że podczas studenckiego Marca w Lublinie wątki „syjonistyczne” były zupełnie nieobecne.

Na Lubelszczyźnie mieszkało podobno w 1968 roku 450 osób pochodzenia żydowskiego. W 1939 roku w samym Lublinie Żydów było ok. 40 tysięcy. W moim Kraśniku przed wojną było dwa tysiące Żydów, 40 procent ludności, w latach sześćdziesiątych - trzy osoby, jedno stare małżeństwo (wyrabiali wafle i zawsze mieli do rozdania dzieciakom ścinki i ułamki w dużych papierowych torbach) i jeden, też stary, samotny pan Gutholz, mój sąsiad. Ostatnia młoda rodzina, z synem w moim wieku wyjechała, bodajże w 1959 roku. Wydawało mi się więc, że może gdzie indziej można było wzbudzić antysemityczne nastroje obiecując np. stanowiska po usuniętych Żydach, lecz nie w Lubelskiem. Ale dowiaduję się z opracowania Małgorzaty Jusińskiej-Chomy z lubelskiego IPN, że I sekretarz KW PZPR Władysław Kozdra przeforsował uchwałę komitetu, żeby mieszkania po emigrujących Żydach w pierwszej kolejności przyznać członkom „aktywu”, który tak dzielnie rozprawił się ze studentami. Z Lubelszczyzny w latach 1968-1969 wyjechały 122 osoby.

A myśmy przeważnie nawet nie wiedzieli, czy wśród naszych kolegów i nauczycieli akademickich są jacyś Żydzi. O Michale Hochmanie z prawa, popularnym piosenkarzu, wykonawcy znanego i dziś „Konika na biegunach” dowiedzieliśmy się, gdy wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tak samo o Witku Parnasie z medycyny (nie znałem go, ale miałem z nim wspólnych przyjaciół). Wyemigrował do Danii. Nie chciał, ale podobno powiedziano mu, że jeśli zdecyduje się na wyjazd zostanie zwolniony z więzienia jego ojciec.

Profesor Józef Parnas był mikrobiologiem na Akademii Medycznej. Po marcu wytoczono mu proces, jakoby za szpiegostwo i skazano na pięć lat. W „Sztandarze Ludu” ukazał się artykuł jakiejś pani adiunkt z Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi, gdzie wcześniej pracował Parnas, która dowodziła, że był złym naukowcem i jeszcze gorszym zwierzchnikiem. O ile wiem, w Danii kontynuował karierę naukową, w internecie znalazłem kilka jego publikacji, a nawet, że w latach siedemdziesiątych otrzymał doktorat honorowy na Słowacji.

Lublin uchodzi za miejsce, gdzie kampania antysyjonistyczna w środowisku akademickim przebiegła stosunkowo łagodnie. W opracowaniach wymienia się trzy nazwiska dojeżdżających naukowców, którym po Marcu nie przedłużono zatrudnienia na UMCS: prof. Marii Żmigrodzkiej z Instytutu Badań Literackich, prof. Jakubowi Litwinowi z Instytutu Filozofii PAN (jestem pewny, że przyjeżdżali i prowadzili zajęcia także w następnych latach, może przestali być kierownikami katedr i drowi Henrykowi Folkierskiemu, ekonomiście z SGiPIS (wyemigrował). Ale moim zdaniem, wymówiono pracę jeszcze kilku osobom. Nie pamiętam nazwiska innego ekonomisty, profesora z SGiPIS, którego wykładów słuchałem. Przestał przyjeżdżać prof. Henryk Rajzman z UJ, wykładał prawo karne. Na mojej polonistyce jesienią 1968 roku nie wznowili zajęć językoznawcy z Warszawy, Bożena i Józef Wierchowscy, zatrudnieni u nas zaledwie rok wcześniej. Nie wiem, czym się narazili, „syjonizmem”, czy jakimś innym „izmem”, i nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Wyrzucono ich, bo miały być zwolnienia. Władze uniwersytetu zapewne sądziły, i nie bez racji, że warszawscy i krakowscy profesorowie łatwiej sobie znajdą nową pracę, niż lubelscy. A siłą, żeby się oprzeć idiotycznym dyrektywom, widać im zabrakło.